WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"

Nr 2 (275)
ROK VII
8 I 1967 r.

Julian Woźniak

PRÓBA BILANSU

(Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych)

Bez wątpienia najbardziej masowa impreza zorganizowana przez CRZZ dla uczczenia Tysiąclecia. Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych stał się okazją, by dokonać gruntownej oceny dotychczasowej pracy oraz wyznaczyć kierunki i perspektywy dalszego działania. Ponieważ zakończyły się już przeglądy wojewódzkie i Festiwal wszedł w fazę decydującą w skali krajowej — warto pokusić się o małą próbę bilansu.

TRZY WARTOŚCI

Moim zdaniem największą wartością Festiwalu jest aktywizacja działalności wielu zespołów. Mając przed sobą wyznaczony cel współzawodniczenia o miano najlepszych w środowisku, okręgu, województwie i kraju, zespoły różnych dyscyplin przystąpiły do opracowywania nowych programów: tańców, utworów muzycznych, pieśni... Ożywiła się ich praca.

I tutaj druga duża wartość. Festiwalowy regulamin ściśle określał wymogi repertuarowe, ukierunkowane dużymi wartościami ideowymi i wysoce artystycznymi. W ten sposób spopularyzowano szereg pozycji dotychczas mało znanych. Odkryto ich piękno, urok, sceniczność! Mam na myśli efekty uzyskane z poszukiwań za nowymi lub zapomnianymi tańcami, pieśniami, widowiskami regionalnymi i utworami muzycznymi. W tym miejscu należy się wyjaśnienie, że program festiwalowych występów obejmował wyłącznie repertuar polski.

LICZBY, LICZBY...

Jak wiadomo, regulamin Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych zakłada cztery etapy występów. Eliminacje w środowisku, okręgu, województwie i kraju. Dotychczas przekroczono trzeci szczebel. Dokonajmy więc podsumowania.

Osobiście nie lubię matematycznych wyliczeń. W tym jednak przypadku liczby są tak wymowne, że kilka z nich postanowiłem przytoczyć.

Otóż — w imprezach środowiskowych, w pierwszym etapie Festiwalu, w środowiskach robotniczych (w Festiwalu uczestniczą wyłącznie zespoły związkowe — przyp. j w.) całej Rzeszowszczyzny — odbyło się 280 festiwalowych imprez z udziałem 310 zespołów. Do drugiego etapu zakwalifikowano 137 zespołów, które wystąpiły w 30 imprezach okręgowych. Wreszcie w 35 koncertach wojewódzkich uczestniczyło 88 zespołów różnych artystycznych dyscyplin. Ogółem imprezy te oglądało ponad 100 tysięcy widzów. Efektowna liczba!

A przecież Festiwal nie ograniczał się do występów scenicznych i estradowych. W zorganizowanym w ramach festiwalowego regulaminu plebiscycie „Bliżej książki współczesnej", w którym uczestniczyło 71 bibliotek związkowych województwa — pozyskano blisko 9 tysięcy nowych czytelników, a w ramach plebiscytu filmowego o polskich filmach wypowiedziało się blisko 20 tysięcy widzów.

Wreszcie ogółem w festiwalowym współzawodnictwie uczestniczy 171 placówek związkowych województwa rzeszowskiego.

MIELEC — LEADEREM

Kto w tej rywalizacji zwyciężył? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Festiwal trwa! Współzawodnictwo placówek o najlepszy program i najszerszy zasięg działania nie zostało jeszcze oficjalnie podsumowane. Niemniej, na podstawie wyników eliminacji wojewódzkich już teraz można sporządzić ligową „tabelę rozgrywek". Jak więc wynika z oceny przyznającej maksymalną ilość punktów za zwycięstwo na szczeblu wojewódzkim i uzyskanie prawa reprezentowania województwa w kraju — na pierwszym miejscu postawić należy Zakładowy Dom Kultury WSK Mielec. Mielczanie delegują na przeglądy finałowe Festiwalu swój zespół teatralny ze sztuką A. Szypulskiego — „Śniadanie, obiad, kolacja", kapelę ludową, orkiestrę dętą, chór mieszany i zespół taneczny. Ponadto biblioteka ZDK w Mielcu zwyciężyła w plebiscycie „Bliżej książki współczesnej", a kino „Metalowiec" ZDK w plebiscycie „Poznaj film polski".

Przewaga Mielca jest zresztą minimalna nad dwiema następującymi placówkami: ZDK Huty „Stalowa Wola" i ZDK WSK Rzeszów, którym należy przyznać ex aequo drugie miejsce. Stalowowolanie występować będą w koncertach finałowych zespołów pieśni i tańca, mocnego uderzenia i tanecznych. Ich zespół teatralny wystąpi w przeglądzie centralnym z „Kolumbami rocznik 20" R. Bratnego, a solistka Zdzisława Mucha śpiewać będzie z najlepszymi w kraju.

Rzeszowianie natomiast zdecydowanie zwyciężyli w kategorii teatrów poezji, zespołów estradowych i zespołów tańca towarzyskiego. Wśród finalistów znajdzie się piosenkarka Anna Żebrowska, a związkowe kino „Mewa" ZDK Rzeszów w plebiscycie filmowym sklasyfikowane zostało na równi z kinem „Metalowiec" z Mielca. A więc 5:5 ze Stalową Wolą. Mielec ma dwa punkty więcej. Oczywiście jest to punktacja nieoficjalna, a o wynikach końcowych zadecydują przeglądy finałowe.

UWAGI I SPOSTRZEŻENIA

Duże uznanie należy się Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych i wszystkim związkom branżowym za organizację tej masowej imprezy, w której uczestniczyło blisko pięć tysięcy wykonawców. Jakkolwiek i tu nie ustrzeżono się drobnych potknięć, jak np. zorganizowanie koncertu kilkuosobowych zaledwie kapel na ogromnej scenie ZDK w Stalowej Woli, a dzień później koncertu kilkudziesięcioosobowych chórów na malutkiej scence krośnieńskiego Domu Kultury Górnika - Naftowca — to jednak w sumie wszystkie imprezy zorganizowane zostały sprawnie, posiadały właściwą oprawę i przebiegały w odpowiedniej atmosferze. Należy tylko żałować, że nie wszędzie dopisała propaganda festiwalowych imprez. Liczba widzów mogła być grubo wyższa.

Krytyczną uwagę można również wysunąć pod adresem komisji oceniających, które do koncertów wojewódzkich zakwalifikowały również zespoły zdecydowanie odbiegające poziomem od „czołówki wojewódzkiej", co wyraźnie obniżyło poziom niektórych imprez. W sumie jednak ocena przebiegu Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych w województwie rzeszowskim wypada ze wszech miar pozytywnie.

TELEWIZYJNA SZOPKA NOWOROCZNA
Na zdjęciu: w szopce występują postaci E. Gierka, Wł. Gomułki i J. Cyrankiewicza.
CAF — ROSIAK

Zwyczajne sprawy

My i trudni rodzice?

Nie stało się nic groźnego i nie zanosi się na wyraźny rozdźwięk pokoleń w naszym rodzinnym życiu. A przecież odczuwam lęk, że jesteśmy — zapracowani, zmęczeni, często zniecierpliwieni współcześni dorośli — trudnymi rodzicami. A nasze dzieci — wychowane w przedszkolu, w szkolnej świetlicy, oglądające „jak leci" program telewizyjny, posiadające własny, zamknięty przed nami świat podwórkowych zabaw i młodzieżowych tajemnic — trudnymi dziećmi.

Ale przecież i my, i oni, jesteśmy i chcemy być zwykłymi, dobrymi rodzicami i dziećmi. Nie zmienimy swojego życia na rytm sprzed stuleci. I nie cofniemy naszych dzieci w świat nianiek, całowania ojca w rękę i milczenia w obecności starszych.

Jak zachować naszą wzajemną więź? A przede wszystkim — jak zachować jej charakter — opieki i zaufania? Jak pozostać po prostu rodzicami i dziećmi — najbliższymi sobie ludźmi?

• • •

Piotrek uczy się dobrze. Na pierwszej w życiu wywiadówce znalazł się w grupie dzieci „bardzo dobrych". — Ale wiesz, ten Andrzej, co ze mną siedzi, ma więcej piątek niż ja. Żebyś wiedziała, jak on ładnie pisze i czyta. Ale on ma szczęście. Jego mama bierze go zaraz po szkole do domu i pilnuje, żeby najpierw napisał na brudno, a potem po obiedzie pisze na czysto. I mama mu zawsze zatemperuje wszystkie ołówki, i nawet na pauzie przychodzi do szkoły, i z panią rozmawia, czasem pomaga pani, jak idziemy na wycieczkę. Bo jego mama nie pracuje.

— A ty chciałbyś, żebym nie pracowała?

— Nie, ja tylko tak mówię...

Ale już zaczyna coś niepokoić. Może to krzywda dla mojego dziecka? Przedszkole — no, to było przedszkole. Był więcej na powietrzu i lepiej się bawił niż mogłaby to zapewnić zajęta domem matka. Ale teraz jest już szkoła, obowiązki. Czy wystarczy, jeśli po południu sprawdzę, czy i jak odrobił w świetlicy zadane lekcje, jeśli skoryguję jakiś błąd, czasem każę napisać coś na nowo? Czy wystarczy, jeśli poświęcę mu te nieliczne przecież godziny popołudniowe? Czy mam prawo zająć się swoją, potrzebną w mojej pracy lekturą, jeśli on czeka na przeczytanie mu dalszego rozdziału jego książki?

Tłumaczę się sama przed sobą: przeprowadzone niedawno badania nad postępami w nauce dzieci matek pracujących i nie pracujących nie wykazały żadnego upośledzenia dzieci, których matki pracują. Odwrotnie — ponieważ wśród kobiet pracujących wyższy jest poziom wykształcenia, dzieci z rodzin, gdzie pracuje obydwoje rodziców, uczą się właściwie lepiej, mają więcej wiadomości.

Ale trochę mi dziecka żal („Andrzej to ma szczęście"...). Choć wiem, że na dobrą sprawę on sam jest dumny z mojej pracy, z tego, że o wszystko może mnie zapytać, z tego, że znam się na tak wielu — jego zdaniem — sprawach.

Nie, nie ma w moich zwierzeniach dylematu: praca czy dziecko? Jasne, że i praca, i dziecko. Ale jak wyważyć troskę o obie, a przecież nie jedyne strony życia?

Trudno? Chyba tak...

• • •

— Byłaś na „Pogardzie"?

— Już nie pamiętam, kiedy byłam w kinie... Chyba w lecie, gdy Ewa była na kolonii. Może uda mi się namówić mamę, żeby przyjechała na kilka dni, to wtedy „oblecę" filmy.

Ewa nigdy nie zostaje sama. Ewa nie jest nierozważnym dzieckiem. Nie bawi się zapałkami, nie majstruje koło gazu. Ewa po prostu nie zgadza się zostać sama. Zawsze musi ktoś w domu być. A ponieważ moja przyjaciółka także nie lubi sama chodzić do kina — praktycznie wyrzekła się takich rozrywek, jak teatr, film, dansing. Obydwoje z mężem nie mogą przecież wyjść z domu jednocześnie.

Nie wiem, czy starała się przekonać córkę, że ośmioletnia dziewczynka może spokojnie zostać przez dwie godziny w domu. Może nie tłumaczyła, może pamiętała, jak to było przed kilku laty, gdy „wymknęli się" po uśpieniu dziecka, a potem po powrocie znaleźli je zziębnięte, zachrypnięte od godzinnego płaczu na podłodze w przedpokoju.

A przecież każda matka ma prawo do swoich rozrywek, do swoich przyjemności. I miłość, i troska o dziecko nie musi oznaczać niewoli. Tylko — jak wyważyć prawo do swobody dorosłych z dobrem dziecka, z troską o nie? Jak nie przekroczyć tej granicy, która dzieli moje przyjemności od krzywdy mojego dziecka?

• • •

— Aniu, po szkole kupisz chleb, masło i cukier. Obierz kartofle, jak wrócę to wstawię. I nie zapomnij wyrzucić śmieci.

— Kiedy ja mam odrobić lekcje? Stale tylko: „Aniu zrób to, Aniu zrób tamto!".

Matka Ani jest dentystką. Po pracy wraca do domu rzeczywiście, bez przesady, zmęczona. Gotuje wtedy dla 3-osobowej rodziny późny obiad, czasem coś reperuje, prasuje, pierze... Jak to w domu. Pracuje na pewno dłużej i bardziej ciężko niż jej piętnastoletnia córka.

Ale przecież ona też nie jest leniem. Uczy się dobrze. Pomaga matce — co prawda na rozkaz, wykonując z grymasami polecenia — ale przecież pomaga.

I właściwie matka nie narzeka na córkę. Choć chciałaby czasem wrócić do domu i usłyszeć: — Mamo, odpocznij, ja pozmywam, ja uprasuję. A z drugiej strony myśli: jaka ona mizerna, powinna odpocząć, powinna pójść z koleżankami na ślizgawkę, powinnam ją zachęcić do zjedzenia jeszcze jednego jabłka. Jeszcze się w życiu napracuje...

I ot — znów dylemat: korzystać z pomocy dziecka czy nie korzystać? A właściwie dylematu nie ma. Dziecko powinno pomagać, od najmłodszych lat, w miarę swoich możliwości. Tak jest lepiej ze względów wychowawczych, psychologicznych. Ale, gdzie jest ta granica, która

◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Polemiki ◆

Zdzisław Kozioł

POROZMAWIAJMY POWAŻNIEJ

PRZED PARU miesiącami opublikowałem na łamach „Widnokręgu" artykuł pt. „Uchronić przed zagładą", traktujący o potrzebie zaopiekowania się parkami podworskimi, których w Rzeszowskiem jest kilkaset. Jest to zresztą problem nie tylko dla województwa rzeszowskiego, co podkreśliło jedno z pism społeczno-kulturalnych. Odzew na ten artykuł skłania mnie do ponownego zabrania głosu, tym bardziej że wyłoniły się pewne — oględnie mówiąc — nieporozumienia, które warto wyjaśnić celem uniknięcia zarysowującego się sporu.

Dla przypomnienia podam, że głównie pisałem o aktualnym stanie parku w Krasiczynie i Medyce; wspominałem również i o innych, zwłaszcza kompletnie zdewastowanych oraz nielicznych, które otoczone są troskliwą opieką. Generalnie rzecz biorąc, stan parków upoważnia do alarmu, wyłania się konieczność opracowania planu ich zabezpieczenia przed dalszym zniszczeniem.

W grudniu 1966 roku przedstawiciele Muzeum w Łańcucie poinformowali mnie o sytuacji w Krasiczynie. Tamtejszy park otaczający renesansowy zamek, park nie mający równego sobie, przynajmniej w południowo-wschodniej Polsce, odzyska swoją dawną wartość; przystąpiono bowiem do jego renowacji. Jak już pisałem, projekt renowacji parku opracował przed laty nieżyjący już wielki miłośnik przyrody prof. dr Ciołek. Do tego projektu wstępnego opracowano koreferat w Katedrze Projektowania Terenów Zielonych i Katedrze Urządzania Terenów Zielonych warszawskiej SGGW; jego autorami są: prof. dr Niemirski i prof. dr Zielonko.

W oparciu o koreferat opracowana zostanie techniczna dokumentacja projektowo-kosztorysowa renowacji. Ponadto Zakład Zadrzewień i Zieleni w Warszawie dokona pomiarów geodezyjnych oraz uaktualni inwentaryzację zieleni w parku krasiczyńskim. Podjęto także prace wykonawcze, które nadzorują specjaliści z Muzeum łańcuckiego. M. in. zrekonstruowano jedną z alei, którą poszerzono do pierwotnych wymiarów, zasadzono tuję białą i kulistą oraz wyprostowano drzewa pochylone przez wiatr i śnieg. Oczyszczono także z suchych gałęzi, samosiewów i chwastów aleję żywotnika, usunięto drzewa uschnięte i spróchniałe, które szpeciły park oraz zagrażały bezpieczeństwu ludzi. Oczyszczono również basen przed basztą zegarową. W bieżącym roku przewidziana jest intensyfikacja prac renowacyjnych, które potrwają kilka lat.

Wyłania się możliwość wykorzystania pracujących w Krasiczynie kadr oraz sprzętu technicznego dla ratowania parku w Medyce. Parkiem tym zainteresowali się miłośnicy przyrody oraz Wydział Kultury Prezydium WRN; na razie „wstawiono" do planu wykonanie wstępnych pomiarów wraz z inwentaryzacją zieleni. Jest to początek, wprawdzie skromny, lecz rokujący nadzieję, że park w Medyce będzie uruchomiony. Optymizm ten wynika z postawy Wydziału Kultury oraz służby konserwatorskiej.

Zanim jednak o dalszych postulatach w tym zakresie, kilka słów o wspomnianych na wstępie nieporozumieniach. O Krasiczynie pisałem nie pierwszy raz. Przed dwoma laty postulowałem przyśpieszenie restauracji zamku, podjęcie decyzji w sprawie przekazania zabytkowego obiektu innemu użytkownikowi, a dla obecnego — Technikum Leśnego — zbudowania nowego budynku. Według posiadanych informacji, Technikum ma być przeniesione do Leska, gdyż tam istnieje potrzeba kształcenia specjalistów w zakresie hodowli i eksploatacji lasów górskich. Sprawa ta doczekała się dość obszernego omówienia; publikowaliśmy bowiem odpowiedzi zainteresowanych resortów, m. in. Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego.

Pisząc artykuły o Krasiczynie stanąłem wobec kłopotliwej sprawy. Spotykałem się bowiem z kontrowersyjnymi ocenami, nierzadko tendencyjnymi, co wynikało — tak przypuszczałem — z personalnych powiązań lub ansów. Starałem się nie osiąść na mieliźnie lokalnych konfliktów; doszedłem do przekonania, że przekazanie przed laty zamku szkole, wyszło temu zabytkowemu obiektowi na dobre. Szkoła w ówczesnych warunkach była wymarzonym użytkownikiem; zamek nie podzielił losu innych obiektów, które służąc celom gospodarczym uległy poważnym zniszczeniom. Obecnie jednak Technikum nie jest właściwym użytkownikiem zamku, który ma służyć innym celom, ale tym stwierdzeniem nie pomniejszam bynajmniej roli szkoły w jego ochronie.

Z niemałym więc zdziwieniem przeczytałem pismo dyrekcji szkoły skierowane do Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Odpis Ministerstwo przesłało redakcji, Komitetowi Wojewódzkiemu PZPR i Prezydium WRN z adnotacją, że pismo dyrekcji Technikum „wyjaśnia istotny stan rzeczy". Jestem odmiennego zdania, a dodatkowo niepokojącym momentem jest to, że Ministerstwo zdaje się podzielać stanowisko dyrekcji.

Dyrekcja szkoły pisze o zasługach uczniów, nauczycieli i Ministerstwa przy konserwacji zamku i parku. Z tym nie będę polemizował, choć jestem przekonany, że szkoła nie była w stanie zapewnić takiej opieki konserwatorskiej, jakiej ten obiekt — zamek i park — wymaga. Jestem skłonny przejść do porządku wobec protestu, że mój artykuł

„...omawia niesłusznie pod wspólnym tytułem „Uchronić przed zagładą" park w Krasiczynie z zupełnie zniszczonym parkiem w Medyce. Z parku w Krasiczynie już przed 10 laty przepędzono wypasane tu bydło i kury i zahamowano niszczenie drzew i krzewów przed zupełnym zagłuszeniem przez zasiewające się drzewa miejscowe. (...) z przykrością dowiadujemy się, że nasz park trzeba chronić przed zagładą i to z czyjej strony? Ze strony tej młodzieży, która tyle serca, pracy i opieki poświęciła sprawom parku i każdy wolny czas poświęcała na pracę w parku. Trzeba więc odebrać Technikum Leśnemu możność sprawowania opieki, przedstawić społeczeństwu szkołę jako sprawcę stanu parku graniczącego z zagładą. Takie informowanie społeczeństwa należy uznać za tendencyjne i nieuczciwe".

W zakończeniu pisma czytamy:

„Na łamach prasy właściwą mogłaby być dyskusja, czy zabiegi wykonywane przez nas są słuszne, co należy w pracy i opiece zmienić, jak ją usprawnić, jak ochronić park przed chuligańskim zachowaniem się osób, skąd czerpać kredyty na najważniejsze potrzeby związane z właściwym utrzymaniem parku. Równocześnie Dyrekcja Technikum nadmienia, że w przyszłości należy się spodziewać nasilenia podobnych artykułów w prasie, gdyż osobom zainteresowanym, tj. Dyrekcji Muzeum w Łańcucie zależy na wyrobieniu opinii, że dalsze zajmowanie budynku zamkowego i parku przez Technikum Leśne jest nie wskazane i w tym kierunku czyni kroki, aby szkołę jak najszybciej usunąć z zamku".

Nie sądzę, by pismo to, którego fragmenty przytaczam dosłownie, stanowiło podstawę do dyskusji, zwłaszcza że szereg kwestii jest już przesądzonych. Zarzut nieuczciwości pozostawię bez komentarza, a jeśli już mamy dyskutować, to poważniej, bez insynuacji. Jest ona chyba — chcę wierzyć — następstwem przewrażliwienia dyrekcji Technikum, która nie chce pogodzić się z koniecznością przeniesienia szkoły do innej miejscowości. Czy trzeba przekonywać, że unikalny, XVII-wieczny zamek renesansowy musi być gruntownie odrestaurowany i przekazany do innych celów?

Niepokoi mnie sprawa ewentualnej współpracy dyrekcji Technikum z łańcuckim Muzeum, którego nota bene przedstawiciele przynajmniej w rozmowie ze mną, zgoła odmiennie wyrażali się o szkole, obiektywnie, nawet z uznaniem i wyrozumiałością. Szczególnie niepokojące jest stanowisko Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, które cytowane pismo uznało za „wyjaśniające istotny stan rzeczy". Co się za tym kryje? A może po prostu wicedyrektor departamentu, który podpisał pismo przewodnie do „wyjaśnienia" dyrekcji szkoły nie jest zorientowany w istocie sprawy?

Krasiczynowi dlatego poświęcam tyle miejsca, gdyż istnieje ścisła współzależność między ochroną przyrody a ochroną zabytków historycznych. Tę współzależność widzimy na przykładzie dawnych pałaców oraz parków, co w Rzeszowie niektórzy dostrzegają. Mam na uwadze stanowisko Wydziału Kultury Prezydium WRN, nie mówiąc o oddanych tej idei pracownikach Muzeum Łańcuckiego.

Niejeden problem wymaga przedyskutowania. Kilka jeszcze uwag w ogóle o parkach podworskich.

(Ciąg dalszy na str. 6)

STARSZA PANI [redacted] ? I MOŻE?...

— Córeczko moja, w miłosnym upojeniu szepcze sędziwy, dotknięty nieuleczalną chorobą pułkownik — kochanek młodziutkiej, chyba 17-letniej włoskiej hrabiance, sławiąc jej niewątpliwe zalety i uroki, jakie ujawnia pod kocem... To bohater Hemingwaya z „Za rzekę w cień drzew" i nikomu bynajmniej nie przychodzi na myśl oburzać się z powodu olbrzymiej różnicy wieku dzielącej partnerów tego osobliwego romansu nad Tybrem.

Nieco wulgarnie sparafrazowany tytuł hemingwayowskiego opowiadania „Stary człowiek i morze" już od dawna stał się synonimem dywagacji, pełnych na ogół aprobaty, dla szaleństw i romansowych poczynań, jakie śmiało przedsiębrać może stary człowiek.

Zanim Hemingway stał się dla nas rzecznikiem w tych sprawach, wychowane na klasycznej literaturze polskiej pokolenie, które reprezentuję, na taki układ patrzyło zazwyczaj przez pryzmat reymontowskich „Chłopów". I mimo iż na jednym ze spotkań w naszym Klubie Literackim miałam okazję usłyszeć, jak młody krytyk w konsultacji dla adeptów pióra, miast pełnej mowy polskiej posługując się szyfrem skleconym z kilku górnych obiegowych banałów, nonszalancko osądził tę powieść jako z d e c y d o w a n i e złą, wątek dramatycznej miłości starego Boryny do Jagny, wrysowany w krajobraz bliższy nam niż ten za rzeką w cieniu drzew (wbrew temu niesłychanie surowemu osądowi), nie stracił w moim pojęciu swej urzekającej, ponurej siły.

Można by mnożyć i długo jeszcze cytować przykłady, w których literatura udziela swej aprobaty miłosnym wzlotom starego mężczyzny, wykazując dla nich pełne zrozumienie.

Motyw to również częsty w literaturze dramatycznej, czasem rozbrajowany z dużym poczuciem humoru, że wspomnę bodaj „Archipelag Lenoir", tak popularny przed kilkunastu laty w teatrach Paryża. Ach, jakże bawił nas, wzruszał i cieszył Fertner, znakomity w krakowskim spektaklu jako głowa strasznego bogatego rodu francuskiego, który gdzieś na uboczu, przechodząc przez winnicę, zadał się (i to z chwalebnymi dla jego podeszłego wieku wynikami), ze „zwyczajną" dziewczyną wiejską, zafascynowany — jak opowiada — jej gołymi, czerwonymi od zimna łydkami. Rodzina proponuje mu tradycyjne acz bolesne dlań wyjście, by dla uniknięcia skandalu popełnił samobójstwo, gdyż jako żyjący będzie na zawsze zhańbiony.

— Zhańbiony, ale ż y w y — odpowiadał bohater, odrzucając tę ponurą możliwość rehabilitacji. Fertner pewny był burzy oklasków, jaką każdego wieczora publiczność przyjmowała ten fragment, podawany przez aktora w sposób rozbrajający.

Jednakże sytuacja, aprobata opinii diametralnie się zmienia, gdy tylko... szaleństwo ogarnia starszą panią. Taką właśnie staruszkę z siwiuteńkim koczkiem, oddaną bez reszty mężowi, licznej rodzinie, a przede wszystkim nie kończącym się wielkim obowiązkom małego gospodarstwa domowego przedstawia francuski film „Starsza pani bez godności", reżyserowany przez Rene Allio. Mimo afiszowych zapowiedzi obwieszczających, iż obraz ten zdobył szereg nagród, a m. in. Grand Prix oraz nagrodę za kreację dla głównej bohaterki Sylvie na MFF w Rio de Janeiro, w Rzeszowie nie ściągnął bynajmniej tłumów.

Po zgonie męża starsza pani manifestuje całkowity, według oceny rodziny, brak godności. Czy popełnia rzeczy niegodne, funduje sobie aby młodego kochanka, oddaje się niestosownym dla siwej głowy rozrywkom?

Można by tak przypuszczać, widząc oburzenie, jakie jej niewinne poczynania wywołują u dorosłych synów. Jakże wiele, w tej sytuacji, tłumaczy kamera filmowa, w absolutnej ciszy, na roboczo, asystująca starej kobiecie w jej zwyczajnych codziennych czynnościach, które przez 40 lat miały swój głęboki sens u boku męża, a w samotności stanowią już tylko nużącą udrękę, pokonywaną na małej przestrzeni, między stołem a kuchennym zlewo-zmywakiem.

Więc nie poddając się terrorowi dzieci, nieskorych bynajmniej do płacenia osamotnionej mamie skromnej, bodaj pensyjki, starsza pani sama próbuje urządzić sobie życie, nieco inne od tego, które upłynęło w przyciasnej kuchni.

Sprzedaje co może, coraz świadomiej wyzwolona na starość od magii błyszczącego rondla. Jest w filmie kapitalny moment kompletnej wyprzedaży, gdy w toku transakcji z wędrownym handlarzem starzyzny, na opuszczone małżeńskie łoże staruszka rzuca, sztukę po sztuce, cały dobytek. Ponieważ marzy już o większej podróży, ba, nawet waży się na kupno zdezelowanego samochodziku, więc nawet i laska małżonka i jego paradny płaszcz padną ofiarą tej ogólnej wyprzedaży.

...A tam była balowa suknia z czerwonej krepy, wykwintne dodatki, — pamiętacie przecież, jak w znakomitej książce Boguszewskiej „Całe życie Sabiny" — sztukę po sztuce z egoistyczną bezwzględnością młodziutkie siostrzenice wyciągały od chorej bezbronnej, starej kobiety, pozbawiając ją ostatnich w tym życiu iluzji.

Z niejaką tremą oglądałam potem „Starszą panią", całkowicie bez godności, oddającą się zakupom na soldach w domu mody. Nie dla siebie tarmosiła włochatą perukę i tasowała rozweselonymi oczyma kolorowe ciuszki. Szukała upominków dla małej, pełnej uroku podmiejskiej ladacznicy, która porzuca swój oficjalny fach kelnerki w mizernym bistro i pełna oddania, ludzkiej wyrozumiałości, współuczestniczy w rozrywkach, przechadzkach, podróżach starej damy, oczywiście całkowicie na rachunek tamtej. Synowie, wplątani w moc własnych kłopotów, za czołowe zgodnie uważają zmartwienie „z mamą" i na upartego pchają ją do częstych odwiedzin na cmentarzu, czemu ona przeciwstawia swój skromny, ale atrakcyjniejszy plan spędzania czasu z nieoczekiwaną stanowczością.

Rzecz kończy się nie tak wprawdzie, jak zamierzały kochające dzieci, ubezwłasnowolnieniem rozdokazywanej staruszki, lecz — co również rodzinie przynosi upragnioną ulgę — jej nagłą śmiercią w wyprzedanym nieomal ze wszystkiego, smutnym mieszkaniu.

Śledząc niezabawne bynajmniej perypetie znakomitej Sylvie, jej upartą walkę o odrobinę swobody w obliczu tego, co nieuchronne, myślałam jak znakomite są proweniencje literackie tej pani, tak pozornie bez większego rodowodu. Bo gdy na ekran weszła fotografia z lat młodości, a potem fotos staruszki bez godności, ale za to wesoło roześmianej z naręczem róż, przypomniał mi się morał noweli Bertolta Brechta, na której oparty jest film o bezbronności ludzkiego losu wobec przemijania. Jakże smutno i w sposób zasadniczy — już bez filmowej nadbudowy — mówi o tym Brecht w „Mutter Courage".

...Obok mnie, w pustawym kinie nudziła się młodziutka para. On objął ją ramieniem, jakby sami płynęli poprzez rzekę w gondoli miłości. Ona, okutana kudłatą ciepłą pilotką pod brodę (niby gotowa towarzyszyć Amundsenowi na biegun), całkowicie oddana była i c h własnemu dialogowi. Z tym niezłomnym przekonaniem, jakie rodzi młodość, iż staruszkowie, to całkowicie odrębny rodzaj ludzki, on zagaił:

— E, na co nam to, po co nam to...

A ona odpowiedziała:

— Co tam stara truje. Takie starocie nie na moje wykształcenie...

Ciao, ciao bambina. Do tego nie potrzeba żadnej edukacji. Wystarczy urodzić się, przeżyć pewną liczbę lat, a w swoim czasie starość przydarzy się każdemu. Nawet najpiękniejszej, nieświadomej niczego młodziutkiej dziewczynie.

O tym, laleczko, z głębokim przeświadczeniem może cię zapewnić każda

Rys. J. SIENKIEWICZ

STARSZA PANI

Tadeusz Kubas

Modny pies

adoptowano go szczenięciem
zanim się wabił
beniaminek

i przedłużono mu dzieciństwo
o czas
za którym życie ginie

a więc łakocie
promenady
gdy księżyc z słońcem
zmienia wartę
i psie w pieleszach eskapady
lizanie ręki bonaparte

zaczekam
może pies — jedynak
jeszcze (gdy nie jest po obiedzie)
w ślad ludzkich uczuć poprowadzi
żeby nie wołać cave homo

Wiesław Kulikowski

Układam Ci do nóg len

Magdalenie

Zapisuję Ciebie ścieżkami na polach, —
na Twoich śladach poprawiam te ścieżki —
— i znów zasypiasz pod piórem,
czytana w książce księżyca

Palą się owocami przekreślone drzewa,
aż nie można ich dotknąć —

— zapisana snem miedza owija Twoje ręce,
a osty świecą tak biało, aż wstrzymują oddech słowa —

— i ptaki się palą
na polach,
wydarte z wiersza.

— Jestem znów wśród ostów,
poparzony pięknem Twojego snu,
— układam Ci do nóg niebieski len
(wystawiony cząstką Twojego imienia)
— i odchodzę w śnieg kartki
przez osty słów.

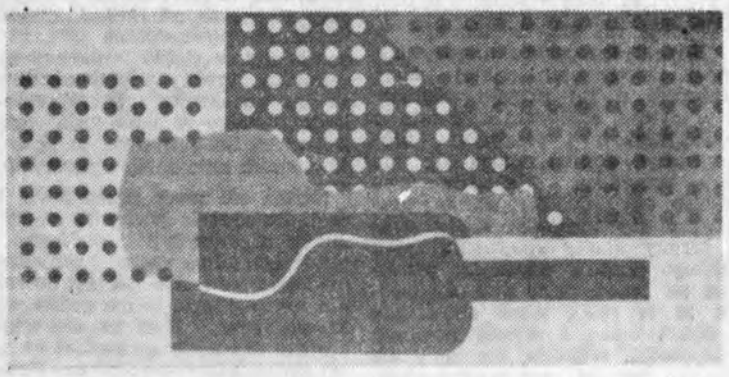

Roman Lis

Dwa rozstania

I

kładę drewniane ręce przedłużone tobą
spada z nich szary obraz deszczu
śpiewający motyl
w horyzoncie pierścionka
w zgaszonej
róży

II

usta unoszą słowo
jak łodyga unosi
czarne płatki
na wiatr

słowo kwitnie
opada
wchodzi do ziemi
jak noc

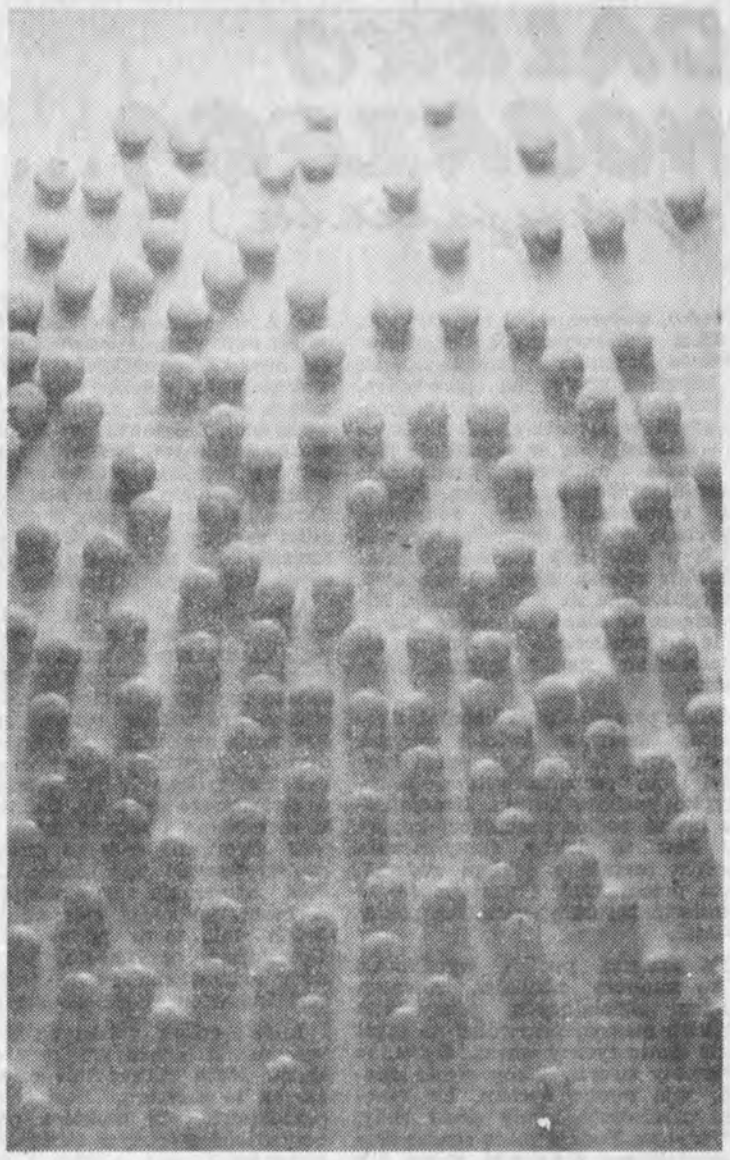

Zofia Stąpor

Iluzje

przymkniętymi oczyma
przybliżam sznur horyzontu

antylopa strachu
kładzie uszy na ścianie
oczy
schowam w płatkach
z portretu

zawieszę lampę
w warkoczach z naszych szeptów

nie zasną dzisiaj
kwiaty
w ogrodzie

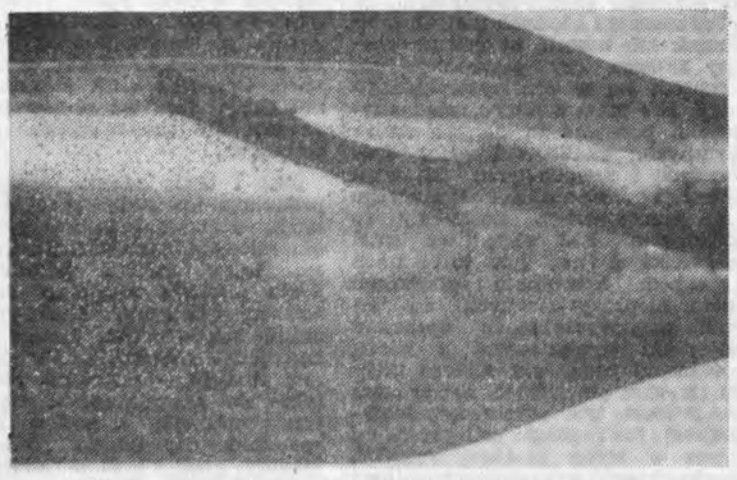

Tadeusz Wojnicki

Depresja

wiatr wertuje w liściach
rękopis mojego życia
zwolna wraca niedobry czas

otwierają się zgojone rany
słabnę z upływu wzruszenia

odwracam oczy
już słońce
jak rozpalona piła tartaczna
ścina wierzchołki drzew
spadają najcięższe gałęzie
w zielony poszum lata

powoli znosi mnie do ujścia
już nie płynę pod prąd

Zdjęcia: JANUSZ WITOWICZ i CAF

Łowcy kulturalnych przeżyć

Rankiem śpieszą do swoich zajęć. Koszary, biuro, sklep, szkoła. Wiele osób figuruje na etacie gospodyń domowych. Wszyscy jednak po wyczerpującej pracy, nauce, lub krzątaninie przy kuchni wyruszają w popołudniowych godzinach na poszukiwanie rozrywek. Ich drogi prowadzą do dużego gmachu, na którego frontowej ścianie, tuż obok wejścia widnieje czerwona tablica z napisem: Garnizonowy Klub Oficerski. Odnajdują ładnie urządzone salki, swoje ulubione stoliki. Sięgają po gazetę, barwny tygodnik, oglądają projekcję ciekawych filmów, program telewizyjny, wysłuchują wykładu lub...

...Udają się do biblioteki. Witają dobrze znajome, wysokie regały, które wypełnia ponad 9 tysięcy książek. Bogactwo tytułów. Bibliotekarka **Janina Minich** systematycznie uzupełnia księgozbiór nowościami, które są po prostu rozchwytywane przez 300 zarejestrowanych czytelników. Szczególnym powodzeniem cieszą się książki o tematyce wojskowej, pamiętniki oraz sensacyjne wydarzenia z okresu minionej wojny. Wśród łowców dobrej książki łatwo znaleźć tych najznakomitszych. Np. pani T. Ś. ma na swojej karcie zapisanych 188 tytułów, które wypożyczyła w ubiegłym roku. Natomiast M. Sz. ponad 200. Inni mają niewiele mniej.

Książka znalazła w życiu rodziny poczesne miejsce. Dostarcza coraz to nowych przeżyć. Jest potrzebna.

Podobnym powodzeniem jak książki cieszą się wykłady. Przy bibliotece od 4 lat rozwija działalność Uniwersytet Powszechny. Na zajęciach, które odbywają się w każdy czwartek i prowadzone są przez specjalnych wykładowców TWP uczęszcza około 40 osób. Niemal wszyscy są nad podziw pilnymi słuchaczami. Na zajęcia przychodzą regularnie, a opuszczenie bodaj godziny należy do rzadkości. Są tacy, którzy wolą przyjść na wykład niż pójść na odbywającą się w tym czasie imprezę rozrywkową. Utarło się nawet wśród słuchaczy powiedzenie, że wprawdzie dyplomów „uczelnia" nie rozdaje, lecz wiedzy nie żałuje. I to z różnych dziedzin.

Dużym powodzeniem cieszyły się cykle wykładów o literaturze polskiej (80 godzin), z historii sztuki i estetyki na co dzień (70 godzin) oraz wiedzy o muzyce (30 godzin). Słuchacze zapoznali się także z historią kina i telewizji. Prelekcje uzupełniono ciekawymi filmami oraz przeźroczami, gdyż klub posiada własny aparat filmowy i epidiaskop. Obecnie odbywają się wykłady z zakresu medycyny. A oto kilka z ostatnio omówionych tematów: **„Higiena psychiczna w walce z nerwicami", „Co rodzice winni wiedzieć o psychice dziecka", „Wychowanie przez pracę i obowiązki"** oraz **„O wyborze zawodu".**

Po każdym cyklu wykładów następuje uroczyste zakończenie przy pół-czarnej i ciastkach. Towarzyska wymiana zdań połączona jest ze zgaduj-zgadulą. Zwycięzcy otrzymują nagrody w postaci książek tematycznie związanych z wysłuchanymi wykładami. W ten sposób uczestnicy kursu nie tylko wzbogacają swoją wiedzę, lecz także uczą się dyskutować, co jak wiadomo nie każdemu przychodzi łatwo. **Łowienie wrażeń w czasie prowadzonej wymiany zdań jest sztuką.**

Dobry głos, poprawna dykcja — z tymi walorami sprawdzonymi często w polemicznej dyskusji łatwo trafić do zespołu recytatorskiego, do którego oprócz żołnierzy należą także i cywile. Liczy około 20 osób. Członkowie zespołu biorą udział w różnych uroczystościach i akademiach. Obecnie w przygotowaniu jest montaż słowno-muzyczny z okazji powstania PPR. Pracami kieruje kapitan **Kazimierz Gotesman.**

Wiele emocji przeżywają również członkowie kółka fotograficznego. Z tajnikami trudnej sztuki fotografowania zapoznaje słuchaczy sierżant **Feliks Wartacz.** Opiekuje się on świetnie wyposażonym laboratorium, w którym każdy może wywołać swoje filmy i zrobić odbitki. Wspólne wycieczki, zabawy dostarczają ciekawych tematów, godnych uchwycenia na błonie filmowej. Co coraz to nowych zdjęć pęcznieją rodzinne albumy, a także kronika klubu.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

NIEDALEKO OD TARNOBRZEGA...

(listy do przyjaciela)

LIST PIERWSZY

Cieszę się, że interesujesz się naszym zakładem. Postaram się więc w miarę możliwości opisać Ci jak tu żyjemy. Przede wszystkim nie wierz wieściom, że nad brzegami Wisły w Machowie koło Tarnobrzega jest nowe Eldorado, że pieniądze leżą tu na ulicy, a ludzie zdobywają je bez trudu. Pewnie, siarka jest w Polsce surowcem unikalnym stąd też biorą się pewne niepowtarzalne rzeczy. W porównaniu z wieloma innymi zakładami można u nas spotkać odmienne rozwiązania. Jest więc specyfika. Jednak w gruncie rzeczy jesteśmy zakładem, w którym ludzie pracują dużo i ciężko. To zasadnicza sprawa. Nieco lepsze warunki płacy wynikają z trudniejszych zadań. To zaczyna się od wysokich szczebli zakładowej hierarchii i ciągnie się w dół. Zrozumiałe, bo kto w Polsce znał się na siarce? Ludzie musieli ją produkować, szybko i dużo, a jednocześnie uczyć się jak to robić. Uczyli się zresztą wszyscy, począwszy od projektantów i wykonawców, a na załodze produkcyjnej skończywszy. Siarka płatała czasem złośliwe figle. Były kłopoty z technologią, z techniką, metodami działania, słowem ze wszystkim. Żadna uczelnia, szkoła czy kurs nie mogły dać wiedzy o tym przedmiocie inżynierowi, technikowi, ślusarzowi czy elektrykowi. Kto mógł na przykład wiedzieć, jak się będzie zachowywał metal użyty do wyrobu pomp do siarki, koncentratu czy zasiarczonych wód? Wiele urządzeń było prototypami. Sam więc rozumiesz, że trudności piętrzyły się na każdym kroku. A jednak ludzie nauczyli się. Kilka lat produkcyjnego ruchu zakładu dało ogromne doświadczenie. Płynie nam siarka zgodnie z państwowym planem, o jakości zgodnej ze światowymi normami. Na pewno czytałeś o nowych decyzjach władz państwowych zwiększających nakłady na siarkę, przyśpieszających rozbudowę naszego kombinatu.

Mówią o tym szeroko materiały publikowane w prasie, radiu i telewizji. Siarka jest sławna. Nie będę więc zatrzymywał się na tej sprawie. Wiem, że interesujesz się zagadnieniami siarki, że jesteś zorientowany w tych publikacjach. Za to pewnie chcesz znać więcej szczegółów, chcesz poznać żywe mięso, siarkę od wewnątrz.

To, co Ci napisałem do tej pory, potraktuj jako wstęp, tło. Dodaj sobie do niego taki obraz: gdy autobus wspina się na ostatnią górkę koło szkoły w Machowie patrzę zawsze w lewo. Kombinat ukazuje się od razu w całej swej okazałości. Osnute parą i dymem kominy, budynki, kurz z wykopów w upalne dni, spłachcie wypalonej oparami ziemi i wreszcie między konstrukcjami estakad żółci się siarka. Czasem niepozorność — tego składowiska jest aż szokująca. A więc zabudowano tyle hektarów ziemi, przywieziono i wbudowano tysiące ton stali, cegły, cementu po to, by uzyskać ten placek zestalonej siarki. W wietrzne, ciepłe dni kurz i dym drapią w gardle, pobudzają do kaszlu. Gdy powietrze jest przesycone wilgocią, już koło bramy nos łapie ostry, nieprzyjemny zapach superfosfatu. Czasem nad ziemią ściele się siarkowodór.

Lubię kombinat nocą. Nie ma wtedy tej pośpiesznej krzątaniny samochodów, wózków elektrycznych, nie ma opętanego irzasku i łoskotu w mechanicznym, odpoczywają dźwigi, młoty, aparaty spawalnicze. Nad zakładem dominuje wtedy równomierny łoskot młynów mielących rudę, cichy pogłos pomp, pogwizdy z kwasu siarkowego. Lubię iść w [illegible] dy pustymi uliczkami, wsłuchiwać się w tę pracowitą noc. Zajść byle g[illegible]dzie i patrzeć.

Stalowe rusztowania dźwigające pomosty drżą w takt równego, monotonnego huku. Walce młynów kręcą się jednostajnie niczym koła wielkiego wozu. Stąd właśnie idzie owo drżenie. Łoskot rozpędzonych bębnów, warczenie kół napędowych, poszum elektrycznych silników. Światła jarzeniówek przeglądają się w kałużach wody na pomostach, rozjaśniają halę pełną maszyn, cmokających w siarkowej pianie łopatek, załamują się w plątaninie rur. Mieszadła mlaskają smakowicie zgarniając żółciejącą papkę. Biją w nią strumienie wody, zgarniają, wpychają w rurę dopływu, sprowadzają w dół. Drży barierka, silniki śpiewają równo, zawsze jednakowo, wyregulowane na swoje obroty. Niby ciągle ta sama chlupiąca piana, a ile już przeleciało ton. Spływa na składowisko siarka gorąca, brunatna.

Lubię przejść się po kopalni. Spomiędzy sznurów świateł biegnie czarny wąż taśmociągu, guma szeleści na rozpędzonych wałkach, cierpko pachnie ziemia. Irracjonalnie brzmi pogłos pracującej koparki. Jest to jakby skrzyżowanie zgrzytu metalu z jękiem zwierza. Dasz potem krok i nurzasz się w ciemność. Na dnie wyrobiska plamy świateł.

Ta pozorna pustka wypełniona tylko szumem silników, równym chodem działających precyzyjnie ciężkich maszyn przywodzi na myśl jakiś fantastyczny obraz. Ogromne automaty tworzą jakby swoje miasto, żyją swoim życiem. Ich wnętrza przeżuwają zwały ziemi, rudy, fosforytów. Podają sobie strawę długimi jelitami z czarnej gumy. Cicho brzęczą transformatory zasilające je prądem, niczym krwią. Wybacz, przyjacielu, trochę fantazji, ale kombinat potrafi porwać człowieka swym specyficznym pięknem.

Powiesz: wszystko jest ładne, ale gdzie ludzie? Zachwycasz się maszynami, ich precyzją działania, ogromem, ale przecież głównie chodzi o człowieka. Dobrze, przyjacielu, będzie człowiek.

LIST DRUGI

Teraz więc będzie o człowieku. Jaka jest nasza załoga? Na pewno można ją porównać z wieloma innymi, tworzącymi się w podobnych okolicznościach. A więc wyższa kadra techniczna przyszła z zewnątrz, z całej nieomal Polski, sporo ludzi przyciągnęło z sąsiednich miast, z sąsiednich zakładów. Ściągnęła ich tu chęć uzyskania wyższych zarobków, perspektywa otrzymania mieszkań, awansów. Wreszcie miejscowi. Tu przeważa chłopo-robotnik, ludzie z Tarnobrzega i innych małych miasteczek lub wiosek, na ogół nie mający zawodu czy poważniejszych, liczących się w przemyśle kwalifikacji. Nie mam zamiaru, drogi przyjacielu, podawać tu danych statystycznych, analizować grup społecznych i zawodowych, ich wzajemnego stosunku liczbowego czy procentowego. Zostawmy to socjologom. Nie chcę też snuć opowieści o tym, jak to rozmach i ogrom kombinatu oszałamiał wielu nieprzygotowanych do tej skali, przyzwyczajonych operować pojęciami wyniesionymi z geesu, spółdzielni pracy czy małego urzędu (tu chcę powiedzieć, że nie mam nic przeciw tym szanownym instytucjom), jak to chłopi szli prosto od pługa w tryby potężnej techniki, mechanizmu wymagającego bezbłędnego działania, poczucia zależności od innych kółek, precyzyjnego zgrania, dbania o swe stanowisko pracy, a jednocześnie nietracenia z oczu całości. Słowem: o ludziach muszących gruntownie przestawić swój sposób myślenia z zaściankowego na wielkoprzemysłowy. Te kilka tysięcy ludzi musiało się zmienić.

Wybacz, mój drogi, te przydługie wywody, ale musi być jakiś wstęp. Zaraz będzie o ludzkich głowach czyli o tym, co myślą.

A więc jest załoga. Muszą minąć lata, by uzyskała ona niezbędny stopień zgrania. Oczywiście musi zadziałać cały zespół warunków, od których to zależy. Czy je mamy? Widzisz, w tym miejscu trochę tracę pewność siebie. Bo można, i tak właśnie jest w praktyce, patrzeć dwojako na sprawę. Na przykład: nowoczesny zakład produkcyjny mający cały szereg skomplikowanych specyficznych problemów wymaga ludzi o odpowiednim poziomie technicznym i ogólnym. Zbyt drogo to wszystko kosztuje, by można tu stosować jakieś połowiczne rozwiązania. A więc ściąga się kadrę, buduje się odpowiednie mieszkania, daje się możność odpoczynku, rozrywki, zaopatrzenie, opiekę lekarską. W takich warunkach człowiek pracuje wydajniej. Ponieważ w Polsce nie ma bezrobotnych fachowców, trzeba też dać ludziom możliwości zdobywania lub podnoszenia kwalifikacji. Słowem stosuje się cały zespół czynności mających na celu zagwarantowanie dla kombinatu odpowiedniego ludzkiego materiału.

Albo tak: budowa na dotąd zacofanych terenach zakładu tego typu, co siarkowy kombinat daje ogromną szansę oddziaływania na ludzką psychikę. Zakład może i powinien być wielką szkołą socjalistycznego myślenia. Ma wyrwać z drętwoty, prowincjonalnej wegetacji ileś tam tysięcy ludzi, pokazać im, że świat może być inny. Dać warunki materialne i rozwój duchowy w celu stworzenia nowego człowieka. Ba, tu właśnie jest kłopot. Czy te dwa spojrzenia wykluczają się? A może nakładają się na siebie? Jeżeli tak, to w jakim stopniu? Oczekujesz, przyjacielu, jednoznacznej odpowiedzi na te wątpliwości? Nie wiem, będę się starał.

Ludzie różnie patrzą na te sprawy. Mówią o tym przy wielu okazjach. Może niezupełnie oficjalnie, ale za to szczerze. Postaram się przedstawić Ci niektóre poglądy, oczywiście w dużym skrócie, uproszczeniu.

Człowiek mówi: jestem specjalistą, zdobyłem wiedzę, pracowałem nad tym ileś tam lat, włożyłem ogromny wysiłek. Dziś daję z siebie, co mogę, przyjmuję na siebie poważną odpowiedzialność. Za to chcę mieć określony poziom życia, określoną szansę. Czy to dużo? Nie. Na całym świecie płacą za kwalifikacje, kapitalista na pewno dałby mi zarobić więcej.

Czasem mówi tak: studia w naszych warunkach, to jakby prezent od społeczeństwa. Na pewno trzeba włożyć w nie wysiłek, ale wielu z posiadaczy dyplomów, w innych warunkach społecznych by ich po prostu nie miało mimo zdolności i gotowości do wysiłku. Tak więc koszt ich studiów ponoszę ja, od, my wszyscy. Mamy więc prawo żądać, że za to ten specjalista da z siebie więcej niż inni. Tak, należy mu się wyższa płaca, lepsze stanowisko. Nie powinno ono jednak być celem samym w sobie, ale tylko narzędziem do służby społeczeństwu. Człowiek musi pamiętać komu służy. Stąd też zadzieranie nosa jest dla społeczeństwa bardzo szkodliwe.

Jest i takie zdanie: nowoczesna produkcja ma swoje specjalne wymogi. Kombinat to nie pensjonat dla młodych panienek. Tempo pracy, zakres zadań postawionych przez państwo narzucają potrzebę żelaznej dyscypliny. Musi być jednolite kierownictwo, jeden pasterz nad jedną owczarnią. Kto nie dorósł do tego — niech ma pretensje tylko do samego siebie. Najpierw jest produkcja, a potem sprawy społeczne, psychologia, różne inne historie. Płaci się za określone kwalifikacje i określoną pracę. Kombinat jest dla ludzi dorosłych i nie można się dziwić ostrym słowom, karom. Organizacje społeczne winny pomagać kierownictwu w stwarzaniu warunków korzystnych dla wykonania planu produkcji.

Albo tak: nie ma sztuki dla sztuki, produkcja jest dla człowieka, a nie on dla niej. W końcu celem jest człowiek. Dla niego stawia się

fabryki i miasta. Musi być świadomym budowniczym swego życia, prawdziwym współgospodarzem swego zakładu. Nie wolno uważać, że pewne pojęcia i hasła są tylko dla maluczkich. Wszystko, co mówimy — musi w pełni odpowiadać rzeczywistości. A więc nie traktujmy go jak siłę roboczą. Oczywiście, muszą być wymogi, musi być dobra praca, ale musi być brany pod uwagę głos każdego pracownika, czyli każda kucharka musi umieć rządzić państwem.

Również i tak: pracuję, bo muszę żyć. Gdy jako tako zarobię, to reszta mnie nie interesuje.

Powiesz, że takie głosy można usłyszeć w każdym zakładzie. Gdzie tu siarkowa specyfika? Zaraz, trochę cierpliwości. Zaraz Ci przedstawię sytuację na naszym gruncie.

LIST TRZECI

Kiedyś mówiono, że w Polsce jest najwięcej lekarzy. Pamiętasz? Podobno wystarczyło wyjść na ulicę z obwiązaną twarzą, a co drugi człowiek uważał za swój obowiązek udzielić porady, jak się leczyć. Dziś sytuacja nieco się zmieniła. Najwięcej jest ministrów, albo nawet premierów lub, w najgorszym razie, dyrektorów. Nieomal każdy obywatel wie co, jak i kiedy trzeba robić, żeby było lepiej niż jest. Co więcej, jest przekonany, że on tylko nadaje się do kierowania innymi. Nie mam tu zamiaru ironizować. Ta sprawa ma dwojaki wydźwięk. Z jednej strony istotnie wiele z tych projektów jest tylko gadaniem mało zorientowanych ludzi. Ale przecież z drugiej strony to wynik naszego działania w ciągu tych przeszło dwudziestu lat. Uczyliśmy ludzi, że władza w kraju należy do nich, że mają się troszczyć o społeczne dobro, że potrzebna jest myśl i dobra wola każdego człowieka. Istotnie jest w ludziach poczucie odpowiedzialności, jest poczucie owego współgospoda-

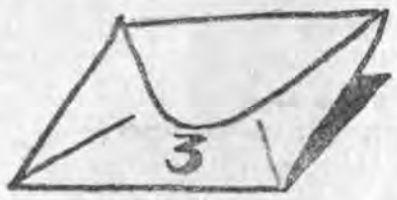

rzenia nie tylko ogólnie w kraju, ale i na swoim podwórku, w swoim zakładzie. Inna rzecz, że tu właśnie jest najwięcej oporów. Ludzie nie zawsze umieją godzić ze sobą demokrację z jednoosobową odpowiedzialnością. Ciągle jest wiele odchyleń od generalnej linii. Skąd to się bierze? Ba, gdyby odpowiedź była łatwa, już by mądrzy ludzie ją znaleźli. Nie czuję się na siłach pisać o całym państwie, ale zrobię próbę spojrzenia na nasze podwórko. Wydaje mi się, że istnieje u nas jakaś dysproporcja między poziomem zawodowym naszej kadry technicznej a jej przygotowaniem politycznym i społecznym. Znam u nas inżynierów i techników, którzy pracują dobrze, znają się na rzeczy, prowadzą właściwie swe wydziały czy oddziały, zmiany produkcyjne czy brygady, ale z drugiej strony mamy spojrzenie tylko z takiego punktu widzenia: pracuję, bo mi płacą. Jako uczciwy człowiek za tę płacę mam obowiązek dać dobrą pracę. A więcej nic mnie nie obchodzi. Właśnie, nic mnie nie obchodzi. Tu jest ten pies pogrzebany. Taki uczciwy człowiek będzie pracował jednakowo dobrze bez względu gdzie. Cecha w ogólności dodatnia, bo strasznie nam przecież zależy na uczciwej pracy, ale to jak wiesz, nie może wystarczyć. Nas, przyjacielu, uczono czegoś innego, prawda? To jest socjalistyczne przedsiębiorstwo. Każdy w nim powinien być działaczem politycznym. Czy to truizm? Może, ale jakże nam jeszcze daleko do wprowadzenia w życie tej zasady. Myślę, że wiele dzisiejszych kłopotów z demokracją wewnątrzzakładową znajdzie pomyślne rozwiązanie w ten właśnie sposób. Ale, niestety, nie jest jeszcze dobrze. Uczelnie właściwie przygotowując fachowców, nie potrafią jednak w pełni nauczyć ich społecznego, politycznego myślenia. Zdaję sobie sprawę, że to poważne oskarżenie, ale tak właśnie jest.

Zapytasz może skąd taki wniosek. Z obserwacji, przyjacielu, naszego życia. Zbyt wielu naszych inżynierów w zakładzie goni tylko za pieniądzem, myśli o dorobieniu się. Nasza stabilizacja ma również swoje niepożądane skutki. Istnieje zbyt duży, jak na nasze stosunki, dystans między pracownikami umysłowymi i fizycznymi. Wystarczy też zapytać w organizacjach społecznych działających w zakładzie ile mają trudności z dopływem nowych działaczy, którzy przecież powinni się rekrutować w dużej mierze z tej właśnie inteligencji. To ogólnie. Ale w poszczególnych komórkach organizacyjnych też nie zawsze jest w porządku. Zbyt często słyszy się krzyk: ja panu płacę i wymagam tego czy owego. Takie stwierdzenia burzą ludzi. Cóż to, prywatny folwark? Kto tu właściwie u kogo pracuje i kto kogo ma prawo reprezentować?

Są też sprawy drażliwe, tak się je zwykle nazywa, kumoterstwo, znajomości i tym podobne. Powiesz może w tym miejscu, że przesadzam. Przecież pracownik ma prawo się upominać o swoje prawa, układ organizacyjny socjalistycznego przedsiębiorstwa daje takie możliwości każdemu. Tak, prawda, ale...

Spotkałem się z takim zdaniem, wygłaszali je ludzie bywający w świecie i znający różne środowiska przemysłowe w kraju, że wiele rzeczy dziejących się u nas jest nie do pomyślenia tam, gdzie występuje koncentracja przemysłu. Nasze małe miasteczko daje tylko jedną poważną szansę. Jest nią siarka. Poza nią istnieje wprawdzie cały szereg bardzo potrzebnych instytucji, ale o niższych zarobkach, mniejszych możliwościach i perspektywach. Zwykły człowiek w razie jakiegoś konfliktu ma wybór tego rodzaju: albo trzymać się siarki, albo spaść niżej. W tej sytuacji zakład jest jakby panem dusz i myśli ludzkich. W tej sytuacji łatwiej jest sprawować nieograniczoną władzę. Wiesz jak to się mówi: mam żonę i dzieci, muszę siedzieć cicho. Niektórzy żartownisie twierdzą, że trzeba brać przykład z PKP. To podobno najmądrzejsza instytucja w Polsce. Napisała przy wszystkich oknach we wszystkich wagonach: nie wychylać się. Żart żartem, ale kryje się w tym wiele prawdy. Bywa czasem tak, że ludzie pracujący w organizacjach, które z urzędu winny dbać o niektóre sprawy też się czasem zastanawiają. Kadencja nie trwa wiecznie, idzie się potem do normalnej pracy, jest się zależnym.

Jest jeszcze jedna ciekawa sprawa. Wyobraź sobie, daję Ci tu przykład oderwany, abstrakcyjny, taką sytuację: pracując w jakiejś komórce organizacyjnej zakładu, obojętnie jakiej, wykonując jakieś tam swoje obowiązki stwierdzasz w pewnym momencie, że w jednym z wydziałów na pewnym odcinku działalności nie jest do końca w porządku. Zgłaszasz się wtedy do swego przełożonego i zawiadamiasz go o swym spostrzeżeniu. Proponujesz, aby zwrócić się do szefa tej komórki i poinformować go o niedociągnięciach. Twój szef zapoznaje się ze sprawą, przyznaje rację, akceptuje wnioski, ale... Właśnie... Rozumowanie szefa jest takie: jeżeli ja, pracownik podległy Iksowi zwrócę uwagę kierownikowi, który jest pracownikiem podległym Igrekowi, to zostanie to odczytane jako atak Iksa na Igreka, albowiem wiadome powszechnie jest, że nie pałają oni do siebie nadzwyczajną sympatią. Igrek na pewno pomyśli, że Iks go „szuka". W tej sytuacji lepiej sprawy w ogóle nie ruszać. Najwyżej Iks jak chce, to ją w odpowiednim momencie wykorzysta.

Można też rzecz przedstawić inaczej. Pracownik stwierdza, że w komórce organizacyjnej podległej Zetowi jest jakaś rzecz zaniedbana, niedopatrzona. Ale Zet jest powszechnie znany z tego, że ma gdzieś wyżej krewniaków. Nikt ich nie widział, ale kto to będzie sprawdzał na swojej skórze? Czy więc ruszać Zeta? A może nie? Problem iście godny Hamleta. Najlepiej chyba nic nie gadać...

Jeszcze inaczej... Mam służbowy obowiązek, wynikający z mego zakresu czynności, zwrócić uwagę kierownika Ntego na pewne nieprawidłowości występujące w podległej mu komórce. Na przykład spóźniono się z wykonaniem czegoś tam... Sprawa w gruncie rzeczy niewielka, jednak trzeba ją załatwić. Ale Nty przyszedł do siarki z jednego z sąsiednich miast. Ponieważ ja akurat jestem z komórki, której kierownikiem jest człowiek z innego miasta, więc mogę narazić się na posądzenie, że chcę zaatakować grupę, do której należy Nty. A to już może być niebezpieczne...

Zorientowałem się, że jeszcze nic nie wiesz o grupach. Zaraz, już naprawiam niedopatrzenie...

Uczeni w piśmie wymyślili różne nazwy, jak na przykład grupy formalne i nieformalne i tym podobne. Ja Ci to opiszę na przykładach. Mówiłem już, że ludzie przychodzili z różnych miast i zakładów. Część z nich utrzymuje między sobą więź i masz już grupy. Zajmują różne stanowiska, są w różnych komórkach, ale więź istnieje. I teraz masz łamigłówkę. Ruszyć czy nie ruszyć? Jeżeli sam jesteś w jakiejś grupie, to pół biedy. A jeżeli nie? Lepiej nie rzucać się w oczy...

Wiem, jaka będzie Twoja reakcja. Powiesz, że maluję zbyt czarny obraz, że w końcu kto produkuje tę siarkę, jeżeli tyle ludzi walczy ze sobą? Tak, istotnie poświęciłem tym walkom sporo miejsca. A jak jest z siarką? Zaraz, będzie o i tym...

MICHAŁ

Krystyna Świerczewska

List z Krakowa

RAJ W JAMIE

Tradycyjnie wypadłoby zacząć, że Brama Floriańska stoi, Rondel też, a mleczne kule ...y rozświetlają dalej mroki przysypanych śniegiem Plant. Bo jest świąteczny wieczór, śnieg pada nie płatkami, ale chusteczkami do nosa co najmniej, lśni w skąpym oświetleniu, drży chybotliwie, wysrebrzając i tak piękne miasto.

Kto raz zahaczył o Kraków i coś tam w nim przeżył — powraca, by odnaleźć kształt przeżycia i zupełnie bezsensownie neguje przy tym najświeższą rzeczywistość, aby z uporem szukać lat dawniejszych. Bo też to idealne miasto na wspominanie, z klimatem tak ułatwiającym wdepnięcie w przeszłość, że osacza ona przybysza jak las, zapach, mrok. I chciałoby się egoistycznie widzieć je w niezmienionym kształcie, zamknięte w urodzie starych stylów, nie ruszone przez czas ekspansji nowego budownictwa — wyizolowane jak eksponat dawności, z żywotnej reszty kraju.

Ale niewygodne, niestety, to piękno dla mieszkańców, którzy nie dostrzegają uroku ciemnych uliczek z gołębiami na śniegu i przeklinają złe oświetlenie, niewygodne dla kierowców, zganiających ludzi i gołębie z wąskich tunelików jezdni, niewygodne dla klienteli sklepików, jako żywo przeniesionych do współczesności z dawnych, leniwie płynących lat. A jednak stoi dalej śródmieście w krasie niewygodnej piękności i powracamy do niej, nigdy nie syci uroków, tym różniąc się od krakowian, że z uciechą zanurzamy się w tłumki kupujących, że smakujemy tę niewygodę ledwie parę razy do roku.

A później idziemy zerknąć na ekscytujący nasze babki „Szal" Podkowińskiego, wypić szklaneczkę grzanego wina w starej miodosytni, zobaczyć czy na Gołębiej stoi Gołębnik — seminarium filologiczne, rzucamy grosik grajkowi ulicznemu i bardzo, bardzo nagle postarzali uciekamy w świat mrożkowego „Tanga", by strząsnąć z siebie czary bronowickich wesel, co akurat w „Starym Teatrze" (znowu starym!) nienadzwyczajnie się udaje... Dlatego uciekamy z miasta, by wrócić znowu i by nie skończyć przypadkiem zaczętego przed laty flirtu.

A święta są najpiękniejszą porą na powroty.

Kraków wyludniony, spokojny, zapada w drzemkę już o zmroku: puste teatry, puste kawiarnie, puste hotele, puste ulice, białe. Planty, Śnieg. W okna pustego Wierzynka dzwoni echo hejnału, mrugają słabym światłem attyki Sukiennic, a mały kościółek św. Wojciecha, przez lata pokryty rusztowaniem z desek, nareszcie z nich wyzwolony, niemal na naszych oczach zapada się w ziemię.

I nie wiem, czy ta pustka winna, czy jubileuszowa Starka, czy oszałamiająca biel śniegu, ale majaczą mi w dole dwie postacie w czerni, którym przeciąg, wiejący z Bramy Floriańskiej, tarmosi długie spódnice, wykrzywia parasole, zwiewa czapy. Dopijam starkę i idę we Floriańską sprawdzić, czy dalej zamknięta Bramą, czy przypadkiem pijana, z balonikiem u czubka nie powędrowała w niebo jak w sławnym rysunku Henryka Szczyglińskiego. Stoi jednak. Uparta, zwycięska, nie przepuszczająca nie tylko tramwajów, o które kiedyś panowie rajcy namiętny spór wiedli, ale żadnego innego pojazdu — chyba zaczarowaną dorożkę może...

Balonik, owszem, ma pod bokiem, w Jamie Michalikowej. I nic to, że Michalika nie masz — szopa została: krakowska jak należy — z tradycjami. Boya zastępuje Stwora, Miecugow i Kwiatkowski. Nie masz w nim jednak improwizacji, nie masz szyfrów osobistych, od których rżała śmiechem brać młodopolska, a kocio przegiętą Rachel w czarnym szalu z powodzeniem zastępuje Stebnicka w kołnierzu z brylantów — dojrzały „kot" lat sześćdziesiątych. Pozostała także atmosfera zabawy, dobrej zabawy, pełnej zgryźliwości i ataków na codzienność — tyle, że bardziej wieja teatrem niż kabaretem, bo poddana jego dyscyplinie i jego wymogom. Przy kusej kurtynce, inspirowanej Siemiradzkim, rozgrywają się świąteczne tematy o raju biblijnym, chóralne zaś intermedia zapewniają nas, że nie o żadne analogie tu idzie, ale o czyste „pour la hec"... Ino że coś nam znajome te utarczki z Chamem, to mnożenie się świń po potopie w arce Noego, plagi egipskie, manna z nieba, Mojżesz — dyktatorek i kryminalna polka murarka.

Heca, podparta świetnym aktorstwem próbuje spaść ekspansywnie na sytą świąteczną publiczność i... niestety, nie daje rady. Siedzą cicho, rozmarzeni sosami i mięsiwami, stłamszeni bujną secesją sprzętów; otępiali po kolacji w rodzinnym gronie jakoś nie mogą uwierzyć, że praca uszlachetnia i że trzej satyrycy krakowscy właśnie do niej nawołują w zakończeniu niewesołych obrazków z biblijnego raju.

Na scence, gdzie dawniej szalał Frycz, Boy, Sichulski, skrzą się kalambury, inteligencja tekstu przerasta możliwości percepcji świątecznej publiczności i jest jak było, że Balonik szokuje mieszczucha. Tyle że dziś, mieszczuch nie protestuje głośno przeciw szarganiu świętości, ale po prostu go nie rozumie i inteligentnie milczy. Bo mieszczuch dziś ma ambicje intelektualne, przeszedłszy długą drogę transformacji w snobа.

Kiedy go widzę w pluszowej kanapie, marzę, by zerwała się z wykusza pijana Brama Floriańska, zakręciła wichrem po salce, rozsypała kunsztowne fryzury, wydarła okrzyk z napuszonej piersi, na której nie błyszczą ordery c. k., lecz koszule non iron. Współczuję przy tym aktorom, że ten świąteczny kabaret jest tak układny i cichy, że mają u stóp krakauera najedzonego, który nie umie się bawić. I złam, że ten świetny plagiat z Biblii z równie świetnym odniesieniem do współczesności, przypomina nieco mówienie dziada do obrazu, choć przecie, tłumaczę to sobie wytrwale, już Boy mawiał, iż największy z tym ambarans, żeby dwoje chciało naraz. A twórcy nowego Balonika chcieli rzeczywiście świetnie nas zabawić. Czarami krakowskich świąt obezwładnieni, cóż poczną, że zabawili tylko nielicznych?

Opuszczam starą Jamę; Kraków po północy jest równie pusty jak o pierwszym zmierzchu. Gdzieś tam za szybami okien bawi się 65 par świątecznie upieczonych małżeństw — w tym małżeństwo 65-latka jak śliczniutki zbieg okoliczności zaświadcza o paradoksach wawelskiego grodu. Plantami suną nieliczni pijacy, bo święta tego roku spokojne podobno, mam ochotę coś zburzyć, narozrabiać, przestawić choć jedną malutką wieżyczkę na inne miejsce, z kimś się pokłócić, słowem — zburzyć tę świąteczną ciszę oraz dostojność, bo niedaleko już do zwykłego świtu...

I nieco zmęczona, przypominam znowu ulotne „Słówka", w których natrafiam na sentencję adekwatną do sytuacji:

„Oto jak nas biednych ludzi rzeczywistość ze snu budzi".

Mnożą się ubiegłoroczne bilanse wydarzeń, osiągnięć i niedociągnięć z okazji Nowego Roku. Był w telewizji i „Świat 66", i „Sport 66", i podsumowująca „Eureka" i nawet podsumowujący Toeplitz. Co prawda w tym ostatnim podsumowaniu jak zwykle nie bardzo było wiadomo, co i kogo podsumowuje autor — ale to przecież cecha charakterystyczna wszystkich „Słowników wyrazów obcych" i przywykliśmy do jego nonsensów, surrealizmu oraz swobody eksprymentu dla eksperymentu. Że na ogół nic z tego nie wynika, to tylko można powiedzieć raz do roku, bo KTT — postać znana z jadowitości i lepiej za często mu się nie narażać.

Natomiast „Świat 66", a zwłaszcza „Sport 66" — to były programy na pewno przygotowane ciekawie, z dużym ładunkiem treści, z bogatym materiałem filmowym. Rozczarowała mnie jednak tradycyjna, noworoczna „Eureka", która za pośrednictwem niezrównanego Wunderlicha zgromadziła kwiat dziennikarstwa stołecznego z zakresu tematyki popularnonaukowej. Dlaczego rozczarowała? — Ano, z prostych przyczyn, że dziennikarzy dobrze m ó w i ą c y c h w telewizji bardzo mało, że ów stereotyp „co najciekawszego przyniósł rok 1966" nie wystarczał, by stworzyć panoramę wydarzeń tego roku, że każdy z panów ruszył zaledwie fragmencik rozległych jego osiągnięć naukowych, że w końcu był to dość nudnawy skrót tego, co „Eureka" z taką pasją dociekliwej sondy aktualności przez rok cały przy pomocy autorytetów nam podawała. No, ale wiernie admirując przez 52 tygodnie roku 66 ten program, żadnej nieprawidłowości ni niesprawiedliwości nie popełnię, gdy o ostatnim powiem mniej entuzjastycznie; za to przypomnę, że czeka nas w tym dziesiątym roku panowania „Eureki" jej 500 jubileusz, który niewątpliwie Wunderlich przygotuje z największą starannością.

Z ostatnich ubiegłorocznych programów warto jeszcze zwrócić uwagę na świetny „Cennik złudzeń", była to bowiem próba reportażu żywego, o szalenie atrakcyjnej tematyce, społecznie nie bez znaczenia, treściowo nie bez ironii, formalnie nie bez talentu przeprowadzona. Płacili ludziska za iluzje byznesu, za skąpstwo, za nieudolne transakcje, za nadmierne zaufanie, za uczucia wreszcie. Płacili nie tylko polskimi złotówkami, ale przede wszystkim gorzkim wstydem i rozczarowaniem do drugiego człowieka. Rzymska maksyma, że homo homini lupus est, może nie w najdrastyczniejszej formie, ale w dostatecznie przykrej, jeszcze raz ostrzegła przyszłych amatorów łatwego byznesu, że rządzą nim żelazne rygory wyzysku w każdej dostępnej formie i że towaru zwanego naiwność w Polsce, niestety, dalej nie brak.

Zbiegły się także dwa inne programy na zupełnie podobne tematy w tygodniu omawianym przeze mnie: program Redakcji młodzieżowej „Jesteśmy egoistami" i program Trybuny Telewizyjnej o problemie młodzieży zdemoralizowanej.

Pierwszy, adresowany do młodych, był niemalże widowiskiem z wymyślonej rozprawy, w której triumfowała urocza osobowość znanego pedagoga — prof. Jackiewiczowej; drugi, prowadzony przez red. Kąkola — człowieka o wszechstronnych zainteresowaniach, wymierzony był w pokolenie ludzi dojrzałych i w ich mentalności szukał rezonansów. Byłby on może rzeczywiście ciekawy w sposobach szukania odpowiedzi, jak zaradzić fali przestępczości, gdyby nie sztuczne przydawanie mu rangi podsumowania wszystkich ubiegłorocznych dyskusji na ten temat. Niestety, zbyt wiele ich było, zbyt różne płaszczyzny otwierały przed czytelnikiem, zbyt wiele momentów dobrze sprecyzowanych niosły same w sobie, by dziś ambitnie wystąpić z jednoznacznym uogólnieniem w półgodzinnej telewizyjnej audycji. Toteż nie traktuję jej jako podsumowania, ale jako jeszcze jeden przyczynek do palącego tematu, który może rzeczywiście nie wymaga alarmowego koncertu, ale który musi niepokoić. I dlatego wąskie zagadnienie przestępczości wśród nieletnich i działalności sądów, które wiceminister sprawiedliwości nazwał zaledwie uzupełniającym w szerokiej fali profilaktyki, idzie w cień przed nią samą i jej to wagę wypunktowuje najsilniej. A tu już nie sposób posługiwać się sloganami o szerokim froncie społecznej uwagi, bo nikt nie neguje w końcu jego istnienia, ale raczej warto zastanowić się nad j a k o ś c i ą form i metod, którymi się posługuje, a które, niestety, są jeszcze dalekie doskonałości. I warto dlatego zgodzić się z prezesem Sądu Najwyższego gen. Jankowskim, że problem nieletnich — to problem w gruncie rzeczy dorosłych, że szalona integracja społeczeństwa, zatarcie granic rodziny jako pojęcia autonomicznego, problem ten jeszcze bardziej zaostrza.

Przyznam się szczerze, że nie lubię dyskusji o złej młodzieży, bo poprawa sytuacji może realizować się tylko w czasie, dodam — długim czasie i przy radykalnych zmianach łańcucha systemów wychowawczych; czy jednak dopuszczać milczenie, które jest jeszcze większym złem? Wyznaję tu o swej bezradności, znowu czasowi powierzając rozwiązanie. No i naturalnie nam wszystkim, jako ludziom w nim sprawdzającym wartość swoich działań.

Krystyna

P. S. Nie starczyło mi miejsca na błyskotliwą szopkę noworoczną, ale może to i dobrze, bo będziemy ją o...dać ponownie dzisiaj i, na szczęście, już bez tej sylwestrowej szampańskiej mgiełki. Dlatego zwróćcie uwagę jeszcze raz na świetność kukieł (vide: zdjęcie na pierwszej stronie) Lidii Minticz i Jerzego Skarżyńskiego, na dowcip tekstów i celność satyry w odniesieniu do niektórych postaci. Że nie wszystkich? — Czyż wszystko może być jednako doskonałe na tym, kto wie, czy najdoskonalszym ze światów?

Łowcy kulturalnych przeżyć

(Ciąg dalszy ze str. 3)

Swoje miejsce w klubie znajdują i najmłodsze dzieci. Dla nich otworem stoi świetlica TPD. Ożywioną działalność prowadzi zwłaszcza kółko plastyczne. Dzieci pod nadzorem instruktora uczą się rysunku i robienia różnych zabawek z papieru. Biorą udział w konkursach rysunkowych. Bardzo ciekawych prac dostarczył ostatnio zorganizowany na temat **„Mój tatuś w wojsku"**. Większość obrazków znalazła się na wystawie, która czynna była w klubie. Wkrótce z inicjatywy ZPAP powstanie tu Ognisko Plastyczne. Ścisła współpraca klubu z Muzeum Okręgowym oraz Biurem Wystaw Artystycznych daje dobre wyniki. Dzięki opiece plastyków, a zwłaszcza **Cezarego Kotowicza**, bywalcy klubu oglądali kilka ciekawych wystaw malarskich.

Inna grupa dzieci pracuje w kółku artystycznym. Na przywitanie Nowego Roku przygotowano inscenizację zimowej baśni. Natomiast z myślą o starszej, uczącej się młodzieży odbywać się będzie od 15 I br. dokształcanie z zakresu języka polskiego i przedmiotów ścisłych. Lekcje prowadzić będą specjalnie zaangażowani profesorowie. Zgłosiło się ogółem 35 uczennic i uczniów, którzy z różnych powodów wykazują braki w opanowaniu materiału z poszczególnych przedmiotów. Należy się spodziewać, że nadrobią zaległości i pomyślnie zdadzą egzaminy.

— W naszym klubie — mówi jego kierownik major **Czesław Kuchniak** każdy może znaleźć to, co go interesuje. Wojskowi i cywile, dzieci i starsza młodzież. Poza tym ściśle współpracujemy z kołem rezerwistów przy WSK oraz z członkami ZBoWiD. Urządzamy dla nich różne imprezy. Pragniemy, żeby wszyscy czuli się u nas dobrze.

Na pewno tak jest. Garnizonowy klub Oficerski w Rzeszowie od przeszło 10 lat uczy, wychowuje i bawi. Za swoją pracę otrzymał liczne dyplomy i wyróżnienia. M. in. 3 lata temu na ogólnokrajowym przeglądzie wojskowych klubów zajął III miejsce. Obecnie nadal należy do czołowych w kraju. Podkreślił to z uznaniem ppłk **Rudolf Gliński** z Warszawy, który uczestniczył w naradzie aktywu kulturalnego klubu, odbytej w grudniu 1966 roku. Podsumowano na niej dorobek placówki w minionym roku oraz wytyczono zadania na rok 1967. Mówiono, że klub poprzez rozwijanie wszechstronnej działalności kulturalno-oświatowej przyciąga coraz nowych członków. Do dużego budynku przychodzą chętnie. Po pracy znajdują tu zasłużony odpoczynek i miłą rozrywkę. Łowią przeżycia...

ADAM POTASZ

Josef Toman: PO NAS CHOĆBY POTOP. Przekł. z czes. M. Erhardtowa. Wwa 1966, PIW, s. 672, cena 40 zł.

Powieść 67-letniego pisarza czechosłowackiego tłumaczona była na szereg języków europejskich. Akcja jej rozgrywa się w Rzymie w epoce cesarstwa, a tłem bohaterów fikcyjnych są: Tyberiusz, Kaligula, Seneka i inni. Wiedza historyczna łączy się tu z talentem pisarza.

DZIENNIK SAMUELA PEPYSA. Wybór, przekład i przypisy Marii Dąbrowskiej. Wyd. trzecie. T. I—II. Wwa 1966. PIW, s. 568+434, cena I/II 80 zł. Płótno.

Pamiętnik ten powstał w Anglii w XVII w. Autor pochodził z drobnoszlacheckiej rodziny, ale koleje życia pozwoliły mu dobrze poznać stosunki polityczne, społeczne i kulturalne. Dziennik stanowi więc ciekawy obraz Anglii okresu rewolucji burżuazyjnej.

Aleksander Kluge: ŻYCIORYSY. Wwa 1966 MON, s. 288, cena zł 15.

Jest to prozatorski debiut niemieckiego prawnika i reżysera filmowego. Debiut ten stał się sensacją wydawniczą w NRF w r. 1962. Bohaterami życiorysów są ludzie niemieccy, których postawa życiowa prowadziła niejednokrotnie do zbrodni.

William Faulkner: ABSALOMIE, ABSALOMIE... Wwa 1966 PIW, s. 442, cena zł 30.

Drugie wydanie powieści znanego amerykańskiego pisarza, której akcja rozgrywa się w w. XIX i pierwszych latach XX. Bohaterami są prości ludzie amerykańscy, a tłem społecznym stosunki panujące w południowych stanach USA.

Ernest Hemingway: 49 OPOWIADAŃ. Wwa 1966 PIW, s. 572, cena zł 32.

Również drugie wydanie nowel zmarłego tragicznie pisarza amerykańskiego, będące przeglądem tego gatunku twórczości autora „Pożegnania z bronią" z lat 1921—1938. Jak zwykle, świetna proza i pasjonująca akcja.

Michał Choromański: DYGRESJE NA TEMAT KALOSZY. Poznań 1966, Wyd. Poznańskie, s. 224, cena zł 18.

Akcja tego utworu rozgrywa się w środowisku polskiej emigracji po II wojnie światowej. Jest to ostre spojrzenie autora „Zazdrości i medycyny" na specyficzny kodeks postępowania ludzi żyjących w oderwaniu od swojej ojczyzny. O generałach, oficerach i arystokracji.

Stefan M. Kuczyński: WIELKA WOJNA Z ZAKONEM KRZYŻACKIM W ŁATACH 1409—1411. Wwa 1966 MON, s. 708, cena zł 85, mapy. Płótno.

Starannie, z dużym zmysłem artystycznym wydana praca, otrzymała pierwszą nagrodę ministra obrony narodowej. Zawiera źródła i literaturę oraz streszczenia w językach: rosyjskim, niemieckim, francuskim, angielskim.

Herbert Marcuse: ROZUM I REWOLUCJA. Hegel a powstanie teorii społecznej. Wwa 1966 KiW, s. 406, cena zł 60.

Tłumaczona z języka angielskiego pozycja naukowa, omawia filozofię Hegla oraz powstanie teorii społecznej.

Herbert W. Franke: MOWA PRZESZŁOŚCI. Wwa 1966 PWN, s. 232, cena zł 25.

Książka austriackiego popularyzatora nauki omawia metody chronometrii, pozwalające na ustalenie z dużą dokładnością dat i czasu trwania różnych wydarzeń, które zachodziły w przyrodzie w odległych epokach geologicznych, a także znalezisk archeologicznych.

Monika Warneńska: MAZOWIECKIE ŚCIEŻKI PISARZY. Wwa 1966 PIW, s. 388, cena zł 18.

Autorka ukazuje mało znane epizody z życia takich pisarzy, jak Słowacki, Krasiński, Norwid, Kraszewski, Sienkiewicz, Świętochowski, Dygasiński, Konopnicka, Gomulicki, Żeromski, Strug, Staff, Nałkowska, Tuwim, Gałczyński, Gojawiczyńska, Broniewski i in.

Koncert pianisty węgierskiego

Lajos Teleki

W dniu 10 stycznia br. w auli Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej w Rzeszowie wystąpi z recitalem fortepianowym pianista węgierski Lajos Teleki. W czasie koncertu usłyszymy Legendę E-dur, Tarantelę, Walca Mefisto i II Rapsodię Liszta, Poloneza cis-moll, Nokturn Es-dur, Walca Es-dur i 3 Mazurki Szopena oraz „Pieśni ludowe dla dzieci" Beli Bartoka.

Lajos Teleki należy do europejskiej czołówki pianistycznej młodego pokolenia. Urodził się w roku 1931 w Budapeszcie, ukończył Wyższą Szkołę Muzyczną w Budapeszcie i Wyższą Szkołę Muzyczną w Warszawie w klasie prof. Zbigniewa Drzewieckiego. W roku 1956 uzyskał jedną z nagród na Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Franciszka Liszta w Budapeszcie.

Koncertował wielokrotnie poza Węgrami, we Francji, w NRF, Jugosławii, Czechosłowacji, Szwajcarii i Polsce. Jego recital będzie niewątpliwie dużą atrakcją dla rzeszowskich melomanów. Słowo wiążące w czasie koncertu będzie prowadził Jan Weber. jg

VI Konkurs Debiutu Dramaturgicznego

Jury VI Konkursu Debiutu Dramaturgicznego organizowanego przez teatr Ateneum im. Stefana Jaracza w Warszawie przy udziale Redakcji dzienników: „Trybuna Ludu", „Życie Warszawy" i „Sztandar Młodych" oraz dwutygodnika „Teatr" — komunikuje, że na posiedzeniu w dniu 22 grudnia 1966 r. w składzie: Edward Csató („Teatr"), August Grodzicki („Życie Warszawy"), Andrzej Hausbrandt (teatr „Ateneum"), Andrzej Jarecki („Sztandar Młodych"), Maria Kosińska („Życie Warszawy"), Henryk Maksara (Prezydium Stołecznej Rady Narodowej), Jerzy Sokołowski (Ministerstwo Kultury i Sztuki), Jan Alfred Szczepański („Trybuna Ludu"), Roman Szydłowski (Klub Krytyki Teatralnej SDP) oraz Janusz Warmiński (teatr „Ateneum") po rozpatrzeniu 110 nadesłanych sztuk, postanowiło przyznać nagrodę w wysokości 10 000 zł za sztukę „Wyznawcy" (godło: Real) — Remigiuszowi Napiórkowskiemu z Warszawy. Sztuka powyższa — zgodnie z regulaminem Konkursu — zostanie wystawiona na scenie teatru „Ateneum" w sezonie 1967/68. Równocześnie postanowiono przyznać wyróżnienie autorom sztuk: „Sprawa Dreyfusa" (godło: X-100) — Marianowi Marzyńskiemu z Warszawy i „Ja zostaję" (godło: Bananowiec) — Wojciechowi Wójcikowi z Łodzi.

Jury uprzejmie komunikuje, że termin nadsyłania sztuk na VII Konkurs Debiutu Dramaturgicznego upływa z dniem 30 września 1967 r. Wyniki VII Konkursu podane zostaną do wiadomości dnia 2 stycznia 1968 roku.

Autorzy prac nienagrodzonych na VI Konkursie Debiutu mogą wycofać złożone w Teatrze egzemplarze nadsyłając pisemne polecenie otwarcia kopert z nazwiskiem i adresem i żądanie zwrotu sztuki.

Jury VI Konkursu
Debiutu Dramaturgicznego

Warszawa, 2 stycznia 1967 r.

Dr JÓZEF CHMIEL — działacz społeczny w Strzyżowie. Rys. J. SIENKIEWICZ

My i trudni rodzice?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dzieli dobro dziecka od jego krzywdy, rodzicielską troskę od wygodnictwa matki czy ojca? Jak nie przekroczyć tej granicy?

* * *

Najgorsza była chwila, gdy ojciec powoli, uważnie, odpinał pas. Teraz co prawda wspomina się te chwile z mgiełką wzruszenia: dzięki temu wyszedłem na ludzi. Dzięki temu?

Co zrobić, kiedy syn zawini — zawini tak, że musi być ukarany, by wiedział na przyszłość raz na zawsze: tego robić nie można!

A może mu wybaczyć? Nie denerwować się tym przewidywanym płaczem, nie słuchać jazgotu „Nie wiedziałem". „Nie chciałem". „Nie będę"... Przecież jesteśmy zmęczeni, przecież go kochamy...

Ale ile razy można wybaczać? Czy zresztą można określić w liczbach troskę o wychowanie człowieka?

Ukarać. Ale jak? Czy starą ojcowską metodą? Czy dla naszego dziecka, któremu sami powtarzamy, że „dzieci bić nie wolno" — ojcowskie lanie nie stanie się czymś gorszym niż kara — po prostu krzywdą słabego wobec przemocy?

Wybrać inne kary — zakaz oglądania telewizji, odmowa zabawy, zadanie nielubianej przez dziecko pracy... Ale jaką skalę karania wybrać? Jak dopasować ją do dziecinnych przewinień, do ich częstotliwości, do wychowawczych szkód konkretnych wybryków?

I jak znów odnaleźć granicę pomiędzy rodzinną sprawiedliwością a płaczem skrzywdzonego dziecka — pomiędzy rodzicielską troską a zdenerwowaniem dorosłych?

* * *

Może pedagog, psycholog znajdzie odpowiedź na wszystkie te pytania. Może książki o wychowaniu stwierdzają bezstronnie punkt po punkcie: tu należy tak, tam należy tak...

Ale my — rodzice — jesteśmy stroną zainteresowaną, a więc stronniczą. I do rozstrzygnięcia wszystkich dylematów nie wystarczy nam setka mądrych książek o wychowaniu. Bo życie jest bogatsze niż wszystkie razem wzięte książki.

Musimy rozstrzygać i według wychowawczych wskazań i — przede wszystkim — według naszych osobistych uczuć, doświadczeń, rozumu.

Trudno? Chyba tak. Ale w tym właśnie zawarte jest szczęście rodziny.

S. GRABOWSKA

Kalman Segal

WYROZUMIAŁY

Uważa się za nieszkodliwego. Z jego strony nikomu nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Nie zwraca uwagi na drobiazgi. Gdy konduktorka w tramwaju nie raczy mu dać biletu, udaje, że tego nie dostrzega.

Byle kiep potrafi go oszukać, a on dyskretnie odwraca wzrok — nie chciałby zawstydzić nawet oszusta. Oszust, być może, ma chorą matkę lub niewinną narzeczoną, która marzy o cichej willi w pięknej dzielnicy za miastem.

Przez wyrozumiałość stara się zrozumieć mechanizm świata i jego okrucieństwa.

Potrafi ulitować się nad łapówkarzem, który ma nienasycone ręce i klejące się palce, i ulega straszliwemu nałogowi chciwości.

Współczuje przestępcy i jego ofierze.

Ubolewa nad przyszłością niemowlęcia i nad śmiercią starca.

Nachyla się nad łożem gruźlika, oddychającego strzępami płuc i informuje go o księżycowych rakietach. Człowiekowi zżeranemu przez raka opowiada o triumfie cybernetyki. Położnicy wyjącej z bólu mówi o morzach krwi przelanej bohatersko na polach sławnych bitew. Każdemu rad by udzielić odrobiny pocieszenia.

O znikomości życia gawędzi z tymi, którzy muszą umierać.

Rozgrzesza łotrzyków, którzy szukają u niego schronienia i sam szuka spowiednika wyrozumiałego, by zechciał mu udzielić absolucji. Albowiem zdaje sobie sprawę, iż wielka wyrozumiałość jest niekiedy wielkim grzechem. I usprawiedliwia się myślą, iż nie wszyscy mogą być sędziami.

Czasem ogląda się lękliwie. Czuje grożące mu niebezpieczeństwo. Obawia się wielkich i nieskazitelnych.

Zdarzenia tygodnia

28 grudnia ub. r. Prezydium Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Rzeszowie omówiło sytuację w zakładach pracy województwa rzeszowskiego w zakresie dokształcania pracowników.

Zgodnie z uchwałą XIV Plenum CRZZ i Egzekutywy KW PZPR w bieżącej pięciolatce wszyscy pracownicy do lat 35, zatrudnieni w gospodarce uspołecznionej winni ukończyć 7 klasę szkoły podstawowej.

Prezydium WKZZ podjęło uchwałę, zobowiązującą administrację zakładów pracy i organizacje związkowe do podjęcia odpowiednich kroków, gwarantujących szybką likwidację zaniedbań w tym zakresie.

*

Staraniem Państwowej Filharmonii im. Artura Malawskiego w Rzeszowie (po raz pierwszy używamy w rubryce tej nazwy po przemianowaniu Państwowej Orkiestry Symfonicznej) 5 bm. w Mielcu i 6 w Rzeszowie odbyły się koncerty muzyki popularno-rozrywkowej. Jako soliści wystąpili Rena Rolska i Jerzy Połomski (piosenki) oraz orkiestra pod dyrekcją Janusza Ambrosa. Konferansjerka Zbigniewa Korpolewskiego. 8 stycznia podobny koncert odbędzie się w Lubaczowie.

*

30 grudnia ub. r. w WKZZ w Rzeszowie odbyło się spotkanie z kierownikami i pracownikami wyróżnionych kin związkowych w plebiscycie „Poznajmy film polski 1965 r.", ogłoszonym w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych.

Sekretarz WKZZ, mgr Józef Woźniak wręczył nagrody ufundowane przez Centralną Komisję Związków Zawodowych.

Jak już informowaliśmy 2 pierwsze miejsca w skali krajowej (ex aequo) uzyskały kina „Mewa" (WSK Rzeszów) i „Metalowiec" (WSK Mielec). Kino „Wrzos" ze Stalowej Woli zostało wyróżnione.

*

Podsumowano wyniki konkursu pt. „Walki o wolność i sprawiedliwość społeczną", ogłoszonego przez Wojewódzką Bibliotekę Dziecięcą w Rzeszowie. O dużym zainteresowaniu tematyką świadczy udział w konkursie ponad 1500 najmłodszych czytelników z 19 bibliotek powiatowych, 5 filii w Rzeszowie i 96 bibliotek gromadzkich. Z 1 026 opracowań (po wstępnej eliminacji) wyróżniono 202 prace, przeważnie albumy. Przedstawiając ogólnie ocenę należy podkreślić wysoki poziom nadesłanych prac z Dębicy, Leżajska, Krosna, Przeworska, Stalowej Woli i Rzeszowa.

Nagrodzone prace będzie można oglądać w najbliższym czasie w lokalu Wojewódzkiej Biblioteki Dziecięcej.

*

5 bm. odbyło się posiedzenie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, poświęcone omówieniu i ocenie działalności Wydziału Kultury.

Polonica kulturalne

„SOWIETSKAJA MUZYKA" O 60-LECIU „HARFY"

Listopadowy numer miesięcznika „Sowietskaja Muzyka" przynosi reportaż z Warszawy pióra S. Popowa na temat 60-lecia Towarzystwa Śpiewaczego „Harfa". Autor przedstawia dzieje 60-letniej działalności tego zasłużonego zespołu. Znaczną część reportażu zatytułowanego „Na święcie chóru" stanowi sprawozdanie z uroczystego, jubileuszowego koncertu „Harfy" w sali Filharmonii Narodowej.

WIERSZE A. WAŻYKA W NRF

Nakładem wydawnictwa „J. G. Blaeschke" w Darmstadzie ukazał się zbiór liryków Adama Ważyka pt. „Barwa czasu". Autorem niemieckiego przekładu jest Karl Dedecius.

Fot. JANUSZ MENDYCHOWSKI

Porozmawiajmy poważniej

(Ciąg dalszy ze str. 2)

Wydział Kultury Prezydium WRN zwrócił się z pisemną prośbą do Wojewódzkiego Zjednoczenia Państwowych Gospodarstw Rolnych, w którego gestii jest znaczna część parków, o zaopiekowanie się nimi. Prośbę tę administracja PGR-ów zignorowała. Czy Wydział Kultury ponowi ją, i kto ewentualnie to poprze, a najlepiej — wyegzekwuje realizację słusznego postulatu? Chodzi na wstępie o wymianę poglądów, szukanie dróg wiodących do rozwiązania problemu. Mam na myśli nie tylko PGR-y, ale także inne jednostki gospodarcze, które użytkują parki.

W pierwszym rzędzie trzeba zweryfikować wykaz parków, ustalić które i w jakim stanie przetrwały, a po których nawet ślad nie pozostał. Następnie zaś ustalić hierarchię kolejności ich zagospodarowania. Paradoksem jest chyba to, że w Rzeszowskiem, które odznacza się niepowtarzalnymi walorami, za mało jest terenów rekreacyjnych. Sprawę tę należy rozpatrzyć w aspekcie potrzeb mieszkańców miast, zwłaszcza ośrodków przemysłowych. Stąd wyłania się postulat zainteresowania tym problemem związków zawodowych i przedsiębiorstw. Czy np. w Medyce, w tamtejszym parku nie może powstać ośrodek wypoczynkowy? Ale parki mogą także służyć ludności wiejskiej, zwłaszcza, że często położone są w pobliżu szkół lub placówek kulturalnych. Park zarośnięty chwastami, z uschniętymi drzewami nie jest dla nich najlepszym tłem.

Jeśli do tego zagadnienia podejść poważnie, to niewątpliwie wyłoni się sporo kłopotów, w tym także trudności finansowych. Milczenie, ignorowanie postulatów urzeczonych pięknem przyrody jednostek pogłębia spustoszenie terenów zielonych. Stąd dla miłośników przyrody pewna rada: trzeba w większym stopniu uwzględniać walory natury praktycznej, utylitarnej. W interesującym nas przypadku — walory rekreacyjne parków.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony 2056, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.